

Teksty Drugie 2000, 5, s. 127-134



Zabili go i uciekł

Krzysztof Uniłowski

Zabili go i uciekł

Ta książka już od pierwszej strony przypadła mi do gustu. Właśnie tu, w *Polowaniu na postmodernistów*¹, nareszcie podali sobie ręce skrupulatny uczony i krytyk o iście sarmackim temperamencie. Autor udowadnia – na przekór obiegowym sądom – że między pisarstwem krytycznym a akademickim literaturoznawstwem nie ma przepaści, że można z powodzeniem łączyć jedno z drugim. To lubię! No i ta polemiczna swada, słusznie doceniona przez obu recenzentów wewnętrznych. Bolecki złości się i piekli, kpi, ironizuje, nie zostawia na oponentach suchej nitki, a jednocześnie nawet na chwilę nie traci z oczu złożonych i szalenie istotnych kwestii. Biada tym, co nieopatrznie rzucili Boleckiemu rękawicę!

Piszący te słowa poczynił taką nieostrożność, więc zasłużenie trafił pośród negatywnych bohaterów *Polowania na postmodernistów*. Cóż, skoro uczony wyzwał mnie do tablicy, to muszę odpowiadać. Nie pomoże chowanie głowy w piasek, nie pomogą żadne uniki – że niby piszę recenzję, a nie polemikę. Hm, ale jak tu polemizować, skoro się okazuje, że wiele spraw widziałem i widzę podobnie?...

Największe opory budzi w Boleckim powszechna jakoby wśród polonistów skłonność do przerabiania najwybitniejszych pisarzy rodzimego modernizmu na... postmodernistów. Prawda, iż „szkoda czasu na udowadnianie, że już Irzykowski, Witkacy, Gombrowicz i Schulz byli postmodernistami” (s. 61). Jeśli takie karkołomne tezy zostały tu i ówdzie zgłoszone, to oczywiście należy je sprostować. Wątpię jednak, by opłacało się czynić z tego zasadniczy wątek książki. W moim przekonaniu, szkoda również czasu na udowadnianie, że Irzykowski *et consortes* postmodernistami nie byli. Szkoda czasu na oczywistości.

Trochę pochopnie i dla samego chyba tylko efektu polonistyczne „łowy na postmodernistów” przedstawia Bolecki jako literaturoznawczą patologię. Gwoli przykładu, uczony zauważa, iż wcale często można się dziś spotkać z „postmoder-

¹ W. Bolecki *Polowanie na postmodernistów (w Polsce) i inne szkice*, Kraków 1999.

nistyczną lekturą” Schulza (zob. s. 48). „Postmodernistyczna lektura” Schulza (czy kogokolwiek innego) nie jest jednak tym samym, co mianowanie Schulza postmodernistą czy choćby prekursorem postmodernizmu (oczywiście, że autor *Sklepow cynamonowych* nie był ani jednym, ani drugim). „Postmodernistyczna lektura” oznacza wypunktowanie tematów, motywów czy cech poetyki, które mogą co najwyżej stanowić punkt odniesienia dla postmodernizmu. Takie reinterpretacje Bolecki uznaje jednak za wątpliwe, albowiem prowadzi one do umieszczenia pisarza (tu: Schulza) poza macierzystym kontekstem historycznoliterackim. W tym miejscu docieramy do zasadniczej kwestii. Okazuje się bowiem, że uczony, choć zrezygnował z poetyki studium historycznoliterackiego, choć poddał swoje teksty normom krytycznego szkicu (nie – rozprawy czy artykułu naukowego), broni praw historyka literatury do swojego przedmiotu – twórczości klasyków dwudziestowiecznej literatury. Nie zgadza się na to, by zestawiać tę twórczość z dzisiejszymi koncepcjami estetycznymi bądź filozoficznymi.

Dobrze, ale czy nie ma w tym pewnej przesady? Jeśli twórczość Witkacego, Schulza czy Gombrowicza nie jest obiektem muzealnym, jeśli dostarcza podniety nie tylko historykom literatury, ale również krytykom sprzyjającym postmodernizmowi, to czy naprawdę warto z tego powodu rozdzierać szaty? Może raczej należałoby się cieszyć? Kiedy przed wiekiem Ignacy Matuszewski pisał *Słowackiego i nową sztukę*, to bez wątpienia dokonywał „modernizacji” twórczości autora *Beniowskiego*. Ale przecież nie można powiedzieć, iżby Matuszewski zarazem przemianował poetę romantycznego na modernistę! W „postmodernistycznych lekturach” Schulza czy Gombrowicza chodzi jedynie o to, by pokazać, że postmodernizm stanowi logiczną konsekwencję modernizmu, że nie jest on, a przynajmniej – nie musi być wyłącznie efektem obcych wpływów. Może być również wynikiem przemyślenia np. Gombrowiczowskich zmagają z kategorią podmiotu lub sprzeciwu Schulza co do wpisywania bytu w porządek archiwum². Na wszelki wypadek raz jeszcze powiem, że podjęcie tych wątków nie oznacza automatycznego czynienia z Gombrowicza czy Schulza postmodernistów, bo byłoby to po prostu bezsensowne.

Szczerze przyznam, że bardzo się zdumiałem, natrafiwszy w *Polowaniu na postmodernistów* na takie oto zdanie: „Można oczywiście widzieć w Irzykowskim, Mi-cińskim, Witkacym, Gombrowiczu czy Schulzu prekursorów postmodernizmu, nie zmienia to jednak faktu, że ich dzieła należą do kanonu polskiego modernizmu!” (s. 54). Tak, wszyscy wymienieni twórcy są przedstawicielami polskiego modernizmu – inna myśl byłaby absurdalna. Jeśli zaś Bolecki dopuszcza, by niektórych modernistów postrzegać jako prekursorów następnego okresu – to o co kruszyć kopie? Doprawdy, nie mam pojęcia! Ba, okazuje się, że ja sam – policzony między myśliwych – jestem w tej kwestii bardziej rygorystyczny od autora *Polowania na postmodernistów*! Gombrowicz prekursorem postmodernizmu? Taką tezę potrafiłbym jeszcze ogarnąć umysłem. Ale gdyby ktoś powiedział to samo o Irzykow-

^{2/} Zob. A. Pantuchowicz, T. Rachwał *Archiwum nowoczesności*, „FA-art” 1997 nr 4.

Unitowski Zabili go i uciekł

skim, Micińskim, Witkacym czy Schulzu, to tego już pojąć bym nie zdołał. Myśliwi, którzy się zasadzili na rodzimych postmodernistów, nie strzelają do wszystkiego, co się rusza. No, chyba że między nimi ukryli się kłusownicy, ale to byłby już osobny problem.

Warto mu jednak poświęcić parę słów. Aczkolwiek twierdzenia Boleckiego o modzie czy powszechnym polowaniu wydają mi się grubo przesadzone, to jednak jest prawdą, że Irzykowski, Witkacy, Schulz czy inni bywali zestawiani z postmodernizmem. Skąd ta pokusa? Na pewno z poczucia słabości naszej dyscypliny, ubogiej w narzędzia i pojęcia, które pozwalałyby ukazać dwudziestowieczną literaturę jako historyczną całość. Sukcesy, jakie odnosiła polonistyka, opisując poszczególne zjawiska, nie ułatwiły nam trudu syntezy. Być może ten i ów odniósł wrażenie, że pojęcie „postmodernizm” pozwoli nam się uporać z wieloma problemami. I owszem, ale oczywiście nie w ten sposób, iżby beztrasko odnieść je do całości lub choćby do wybranych zjawisk z historii literatury polskiej XX wieku. Kto tak postąpił, ten popełnił oczywisty błąd, przechodząc do porządku dziennego nad odmiennością terminologicznej tradycji w Polsce i krajach anglosaskich. Termin „postmodernizm” jest użyteczny tylko o tyle, o ile prowokuje nas do postawienia pytania o rodzimy... modernizm. Zapoczątkowana w „Tekstach Drugich” debata nad problemem polskiego modernizmu (w odnowionym znaczeniu) jest być może najważniejszą dziś dyskusją historycznoliteracką. Co do tego, również zgadzam się z Boleckim.

Autor *Polowania na postmodernistów* należy do najaktywniejszych uczestników tej debaty. I nic dziwnego, że stronice, które uczony poświęcił polskiemu modernizmowi, to najbardziej frapujące partie książki. Wprawdzie nie mamy tu do czynienia z systematycznym wykładem (na to dzisiaj jeszcze za wcześnie), ale szereg uwag Boleckiego jest godnych zapamiętania i podjęcia. Mocno i dobitnie uczony podkreśla odrębność rodzimego modernizmu, dopatrując się jego specyfiki w uprzywilejowaniu groteski tudzież w tym, iż autotematyczne nicowanie konwencji literackich zawsze było tu podporządkowane dążeniu do „odkrycia” rzeczywistości: „Irzykowskiego i Witkacego łączyło bowiem modernistyczne przekonanie o konieczności precyzyjnego przedstawiania (tak!) rzeczywistości, a nie postmodernistyczna apologia niemożności «reprezentacji» świata” (s. 55). Ta ostatnia kwestia doczekała się rozwinięcia w znakomitym szkicu *Teksty i glosy (z zagadnień poetyki modernizmu)*. Ważna to wypowiedź, bo stanowi wymowny dowód, iż jest możliwe uchwycenie pewnej dominandy, idei czy nawet koncepcji „literackości”, dzielonej przez pisarzy różnych pokoleń, mikrookresów, nurtów czy formacji. Owa dominanta („norma”) polega na „przeciwstawieniu literatury jako «tekstów» i literatury jako «głosów»” (s. 269). Przy czym dychotomia przebiega nie tyle między dwoma nurtami literackimi (choć – jak zauważa Bolecki – można by takie wyróżnić), ile raczej wpisuje się (w rozmaity sposób) w poszczególne utwory: od Berenta po Pilcha, od Tetmajera po Stasiuka. Literatura modernizmu zawsze – także w odmianie autotematycznej – opowiada się przeciwko „tekstom”, przeciwko temu, co „literackie”, skonwencjonalizowane, „sztuczne”. Modernizm staje po stronie tego,

Roztrząsania i rozbiory

co „jednostkowe”, „autentyczne”, „niepowtarzalne”, „pozatekstowe” i „pozaliterackie”. Także wtedy, gdy utwór to, co „pozatekstowe”, plasuje w polu „niewyraźnego”.

Ten znakomity szkic pozwala też uchwycić granice modernizmu. Będą nimi – co na pierwszy rzut oka może się wydać paradoksalne – te praktyki literackie, które kwestionują bądź uchylają granice między „tekstem” a „głosem”, między „pierwiastkiem literackim” i „nieliterackim” w samym utworze. Z rozważań Boleckiego (zob. s. 277–281) wynika, że w literaturze polskiej takim właśnie wypadkiem jest twórczość Gombrowicza! Jeśli tak, to znowu przyjdzie mi się zgodzić z autorem *Polowania na postmodernistów*. Pisarstwo autora *Dziennika* doprowadza polski modernizm do takiego punktu, po którym możliwy jest jedynie albo odwrót, albo... postmodernizm.

To samo można pokazać w inny sposób. Bolecki powiada tak: „Fundamentalna różnica między postmodernizmem a twórczością tych pisarzy [Witkacego, Schulza, Gombrowicza – przyp. K. U.] dotyczy traktowania podmiotowości człowieka. Dla postmodernistów «podmiot» i «podmiotowość» to puste słowa, podmiot nie istnieje – oto jedno z haseł postmodernizmu, a zarazem wyznacznik jego negatywnej antropologii. Tymczasem dla Witkacego, Gombrowicza i Schulza podmiot, jednostka, indywidualność to najważniejsze kategorie ich myślenia i sztuki” (s. 59). Póki co, zgódźmy się z tym rozpoznaniem, choć wydaje się ono bardzo niesprawiedliwą charakterystyką postmodernistycznej literatury i filozofii³. Ciekawe, że w *Tekstach i głosach* uczony mówi już nieco inaczej: „Gombrowicz unieważnia [...] modernistyczną koncepcję podmiotowości [...]. Podmiot wypowiedzi w koncepcji Gombrowicza realizuje się nie poprzez otwarte eksploatowanie złóż wcześniejszego doświadczenia (np. dzieciństwo czy dojrzewanie), lecz jako podmiot staje się w samym akcie wypowiedzi [...]” (s. 278–279). Oczywiście, że tak! I właśnie Gombrowiczowska negacja tradycyjnej koncepcji podmiotu może być punktem wyjścia dla ujęcia problematyki antropologicznej przez postmodernistów.

Pisząc o granicznej pozycji Gombrowicza, popełniłbym nadużycie, gdybym sugerował, że w ten sposób sprawę stawia sam Bolecki. Dla niego autor *Ferdynand* jest po prostu modernistą. Rodzimy modernizm uczony wpisuje w inne ramy czasowe aniżeli np. Ryszard Nycz. Chodzi przede wszystkim o kwestię ewentualnego

³ Zdaje się, że Bolecki zaufał temu opisowi postmodernistycznej „antropologii negatywnej”, jaki przedstawił Erazm Kuźma w artykule *Język jako podmiot współczesnej literatury*, w zbiorze: *Z problemów podmiotowości w literaturze polskiej XX wieku*, pod red. M. Lalaka, Szczecin 1993. Tymczasem, po pierwsze, podmiot i jednostka to nie to samo. Jeśli postmoderniści kwestionują obiektywne istnienie podmiotu, to nie znaczy, że tym samym przeczą istnieniu jednostek ludzkich. Po drugie, nie jest prawdą, iżby postmodernizm przyjmował, że „podmiot nie istnieje” w ogóle. Wedle postmodernistów podmiot nie istnieje poza dyskursem. Znaczy to tylko, że podmiot nie jest bytem prymarnym, źródłowym. Por. A. Dziadek *Rytm i podmiot w liryce Jarosława Iwaszkiewicza i Aleksandra Wata*, Katowice 1999, s. 7–8.

Uniłowski Zabili go i uciekł

zamknięcia okresu. Jego fazę schyłkową Nycz wyznacza na lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, kiedy – m.in. w związku z „sylwicznością” – narastają „symptomy samorozwiązywania się podstawowych opozycji, w których artykułowała swą odrębność i wewnętrzne zróżnicowanie literatura nowoczesna”⁴. Bolecki sądzi inaczej. Jego zdaniem, w warunkach polskich modernizm zachował żywotność praktycznie do dziś. Świadczy o tym szkic poświęcony literaturze lat osiemdziesiątych, fakt włączenia niektórych głośnych w ostatnich latach prozaików (Stasiuka, Pilcha, Chwina) do grona autorów honorujących modernistyczne pojmowanie literackości, świadczą o tym wreszcie te oto choćby słowa ze *Wstępu*: „współczesna kultura polska jest nadal kulturą modernistyczną, na której obrzeżach istnieją oczywiście enklawy postmodernizmu oraz przeróżnych kontestacji, ale których nawet przy największych staraniach nie uda się wyolbrzymić tak, żeby były większe niż są” (s. 10).

Kto ma rację? Czy – jak sugeruje Bolecki – modernizm jest naszą współczesnością (i jedynie na jej obrzeżach itd.), czy też – jak chce Nycz – powoli odchodzi w przeszłość? Może już odszedł? Dziwnie to zabrzmie, ale słuszność mogą mieć obaj uczeni. Sprawy nie przedstawiają się jednoznacznie, wszystko zależy od tego, jak rozłożymy akcenty. Ma rację Nycz, gdy pisze o powolnym wyczerpywaniu się potencjału modernizmu. Za sprawą świetnych osiągnięć Gombrowicza, Parnickiego, Buczkowskiego, Różewicza, Karpowicza, Białoszewskiego i kilku innych literatura nowoczesna dotarła do własnych granic, uświadamiając sobie wpisane w swój program sprzeczności⁵. Wszelako w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych literatura nowoczesna nie ustąpiła miejsca postmodernizmowi. Ustąpiła pod naporem kolejnej fali antymodernistycznej reakcji. W rezultacie ataku na socparnizm, popaździernikowy „artystowski azyl” czy choćby koncepcję „rewolucji artystycznej”⁶ w dużym stopniu zaprzepaszczone zostały zdobycze lat sześćdziesiątych. Literatura lat osiemdziesiątych pozostała oczywiście literaturą modernistyczną (represje objęły *de facto* neoawangardowe skrzydło modernizmu), ale był to już modernizm ujęty w karby polityczno-społecznych powinności, w pewnej mierze – ograniczony. To, co w literaturze modernistycznej, budziło akurat najmniej zainteresowania. Gest polityczno-społeczny protestu – przeciwnie.

Istnieje pewna sprzeczność między świadomością literacką lat 1976–1989 a literaturą tego czasu. Jeśli nawet sama literatura nie zapominała o paradoksach nowo-

^{4/} R. Nycz, *Język modernizmu. Prelegomena historycznoliterackie*, Wrocław 1997, s. 41.

^{5/} Najważniejszą z tych sprzeczności wytropił przed laty Michał Głowiński, zartobliwie porównując nowoczesną literaturę do mitycznego Midasa. Choć zmierza ku temu, co nieliterackie, to jednak „literatura jest jak król Midas, który zmienia wszystko nie zawsze wprawdzie w złoto, ale zawsze w literackość”, M. Głowiński *Gry powieściowe. Szkice z teorii i historii form narracyjnych*, Warszawa 1973, s. 68.

^{6/} Zdeklarowanym przeciwnikom autora Henryka Berezę do namysłu: przeczytajcie uważnie *Teksty i glosy*, a dostrzeżecie, że idea „rewolucji artystycznej” nie była bynajmniej programem wymyślonym dla nobilitacji prozatorskiej młodzieży, lecz – prawda, że dość grubo nakreślonym – opisem polskiego modernizmu.

Roztrząsania i rozbiory

czesnej estetyki, to za sprawą politycznej gorączki zapomnieli o nich krytycy. Patrząc na problem od strony świadomości literackiej, Bolecki ma rację, gdy mówi o konieczności odzyskania modernizmu lub nawet o konieczności powrotu do modernizmu. Wszelako ten sam problem, widziany od strony literatury, przedstawia się inaczej: tutaj wyzwaniem staje się powinność przekroczenia nowoczesności.

Wypwód Boleckiego zamyka się w błędnym kole: nie zmieniła się świadomość literacka – argumentuje autor – bo postmodernizm zajmuje marginalne miejsce na mapie rodzimej kultury. A postmodernizm zajmuje miejsce marginalne – czytamy dalej – bo nasza świadomość nie zmieniła się nawet o jotę. Trudno powiedzieć, co jest tutaj przyczyną, a co skutkiem. Widać za to wyraźnie, że zastana świadomość literacka jest dla uczonego fetyszem.

Czy można się wyrwać z tego błędnego koła? Bolecki pisze tak: „Dyskutując o post-modernizmie (w Polsce), trzeba pamiętać, że rozwijający się w latach międzywojennych dojrzały modernizm został przecięty przez II wojnę światową, a następnie najdosłowniej wdeptany w ziemię przez socrealizm i ideologię stalinowską. Modernizm jest w Polsce rzeczywiście «nie dokończonym projektem»” (s. 13). Czyżby? Zdaje się, że Bolecki zapomniał o roku 1956, dacie oznaczającej powrót polskiej literatury i kultury na modernistyczne szlaki (myślę tutaj o Październiku jako „przełomie modernistycznym III” – zgodnie z pomysłowym określeniem Mariana Kisiela⁷). Nie sama literatura modernistyczna została zagubiona, lecz świadomość modernizmu w krytyce i akademickiej polonistyce – a to dwie różne sprawy.

Powtórzę: choć Bolecki nie daje systematycznego wykładu, to jego uwagi dotyczące rodzimego modernizmu są szalenie ważne i inspirujące. Ale jednocześnie autor wyraźnie lekceważy problem postmodernizmu. Pisząc o tym ostatnim – obok wielu trafnych uwag – Bolecki formułuje również twierdzenia dość ryzykowne. Nie jest prawdą, że „głównym wyznacznikiem postmodernizmu w literaturze jest «rozbijanie iluzji realizmu», czyli, jak mówią postmoderniści, «kryzys reprezentacji»” (s. 51–52). Takie – błędne! – rozumienie postmodernizmu okazuje się jednak autorowi potrzebne, bo właśnie dzięki temu może napisać: „rozbijanie iluzji realizmu w Polsce było dziełem już pierwszego pokolenia modernistów, a nie... postmodernizmu” (s. 52). Święte słowa! Tyle tylko, że znakiem rozpoznawczym postmodernizmu nie jest wcale „kryzys przedstawienia” (bo ten był właściwy dla literatury poprzedniego okresu), ale wnioski, jakie tu wysnuto z modernistycznej lekcji. Jak w swoim czasie podkreślił Ryszard Nycz, postmodernizm kwestionuje zarazem iluzje literatury przedstawiającej, jak również – modernistyczną ideę autonomii literatury⁸. Opozycja między „literackim” i „nieliterackim”, „fikcyjnym”

^{7/} Zob. M. Kisiel *Przełom 1955–1959 w literaturze polskiej. Tezy*, w zbiorze: *Cezury i przełomy. Studia o literaturze polskiej XX wieku*, pod red. K. Krasuskiego, Katowice 1994, s. 84.

^{8/} R. Nycz *Literatura postmodernistyczna a mimesis (wstępne rozróżnienia)*, w: *Po strukturalizmie. Współczesne badania teoretycznoliterackie*, pod red. R. Nycza, Wrocław 1992, s. 185.

Uniłowski Zabili go i uciekł

i „realnym” podlega tu dekonstrukcji. Znamię „literackiego” i „nieliterackiego” odkrywa się zarówno w samej literaturze, jak i – poza nią (np. w „dokumencie”). Stąd myśl, że granica między literaturą a jej „zewnętrzem” (jakkolwiek rozumianym) nie ma charakteru „naturalnego”, „źródłowego”, lecz – operacyjny, arbitralny; jest każdorazowo ustanawiana w zależności od ideowych potrzeb.

Bolecki lekceważy postmodernizm, by ostatecznie powiedzieć: *nihil novi sub sole*, postmoderniści nie proponują niczego nowego, ich poetyka i świadomość to ledwie marna kopia tego, co już dużo wcześniej pojawiło się w polskim modernizmie. Stąd wniosek, że „składnikami polskiego modernizmu były zjawiska nazywane dziś postmodernistycznymi” (s. 42). To zdanie jest dość dziwne. Sugeruje bowiem, że postmodernizm jest w istocie tym samym, co modernizm, tyle tylko, że gdzie indziej (na Zachodzie), w innym od polskiego otoczeniu cywilizacyjno-społecznym (epoka postindustrialna, rewolucja informatyczna, konsumpcjonizm *etc.*). Różnice jednak istnieją – i to zasadnicze. Dla przykładu, postmodernistyczne parodie i pastisze dawnych („przedrealistycznych”) konwencji narracyjnych nie wiążą się z samą wyłącznie krytyką tych konwencji, krytyką podjętą w imię jakiegoś „lepszego”, jak pisze Bolecki – „precyzyjnego przedstawienia rzeczywistości”. Powrót do dawnych form oznacza również – a może przede wszystkim – przekreślenie idei modernistycznego nowatorstwa.

To prawda, że różnice między modernizmem a postmodernizmem nie są łatwo uchwytnie w planie poetyki. Stąd zresztą wynikają pomyłki, nad którymi tak ubolewa autor *Polowania na postmodernistów*. Zdarza się bowiem, że pisarze modernistyczni i postmodernistyczni korzystają ze zbliżonego repertuaru chwytów artystycznych. Ale jeśli nawet, to posługują się nimi w bardzo różnych celach. Najwyraźniej przedstawiają się zatem różnice w planie estetycznym i ideowym. Postmodernistyczny eklektyzm bardzo odbiega od modernistycznego synkretyzmu, postmodernistyczny cytat służy czemuś innemu aniżeli modernistyczny „cytat z rzeczywistości” *itd.*^{9/}

Nie, Bolecki nie neguje samej możliwości pojawienia się w Polsce literatury postmodernistycznej, choć z góry wyznacza jej miejsce na „obrzeżach” życia literackiego. Twierdzi też, że polski postmodernizm jest wyłącznie „wynikiem recepcji postmodernizmu zachodniego” (s. 13–14). Obce inspiracje są ważne, ale jeśli rodzimy postmodernizm miałby być wartościowym zjawiskiem, to musiałby wynikać przede wszystkim z przemyślenia, rozwinięcia i rewizji pewnych wątków rodzimej tradycji modernistycznej. Bolecki chyba wyklucza taką ewentualność,

^{9/} Z tego powodu użyteczne dla polonistów mogą się okazać ustalenia estetyków czy historyków sztuki. Dla zasygnalizowanych tutaj kwestii ważne – w moim przekonaniu – będą np. artykuły G. Sztabińskiego *Eklektyzm a postmodernizm*, w: *Sztuka i estetyka po awangardzie a filozofia postmodernistyczna*, pod red. A. Zeidler-Janiszewskiej, Warszawa 1994; *Awangarda a postmodernizm: zagadnienie cytatu*, w: *Awangarda w perspektywie postmodernizmu*, pod red. G. Dziamskiego, Poznań 1996; *Cytat i gra. Problemy postmodernizmu w sztukach plastycznych*, w: *Postmodernizm po polsku?*, pod red. A. Izdebskiej i D. Szajnert, Łódź 1998.

Roztrząsania i rozbiory

a przecież takie utwory już istnieją. Choćby *Antologia twórczości postnatalnej* Kędra. Choćby *Terminal* Bieńczyka. Choćby *Wieloryb* Jerzego Limona. Gdyby ktoś chciał opisywać te utwory, to pewnie przyda mu się lektura zachodnich pisarzy i teoretyków literatury. Ważniejsze wydaje mi się jednak, że żadna z tych książek nie mogłaby powstać, gdyby nie późna faza polskiego modernizmu, gdyby nie Gombrowicz, Parnicki, Buczkowski. Cóż, polski postmodernizm ma chyba trochę z Jamesa Bonda. Wielu krytyków próbowało go uśmiercić w zarodku (zbagatelizować, odesłać na „obrzeża” itp.), ale ma on ów nieprzyjemny nawyk wychodzenia cało z opresji.

Krzysztof UNIŁOWSKI